

PIŁO MYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20

TOM II

NR. 33

WARSZAWA, 27 KWIETNIA 1936 ROKU



JOANNA D'ARC



Od czasów dalekich
złączyły nas wieki
przez wspólne zwycięstwa i trudy.
I w boju i w pracy
Francuzi, Polacy
choć zdala — braterskie to ludy.

Za czasów niewoli,
za czasów bezsiły,
za kraj, przez zaborców gnębiony,
przy boku Francuzów
o Polskę walczyły
jej wojska wygnańcze — legjony.

Po klęsce powstania
wśród trudów i nieszczęść
duch polski we Francji się krzewił.
Jaśnieli tym duchem
wygnańcy i wieszczowie:
Słowacki, Szopen, Mickiewicz.

A w wojnie ostatniej
znów armje dwie bratnie
na polach nad Marną, nad Wisłą
zawarły przymierze
w rycerskiej ofierze
za pokój, za wolność, za przyszłość.

A potem, na niwy
po bitwach straszliwych
zniszczone, na puste wkrąg pola
znów przyszedł ochoczo
z robotą, z pomocą
do brata Francuza brat Polak.

E. Sz.

P A R Y Ż

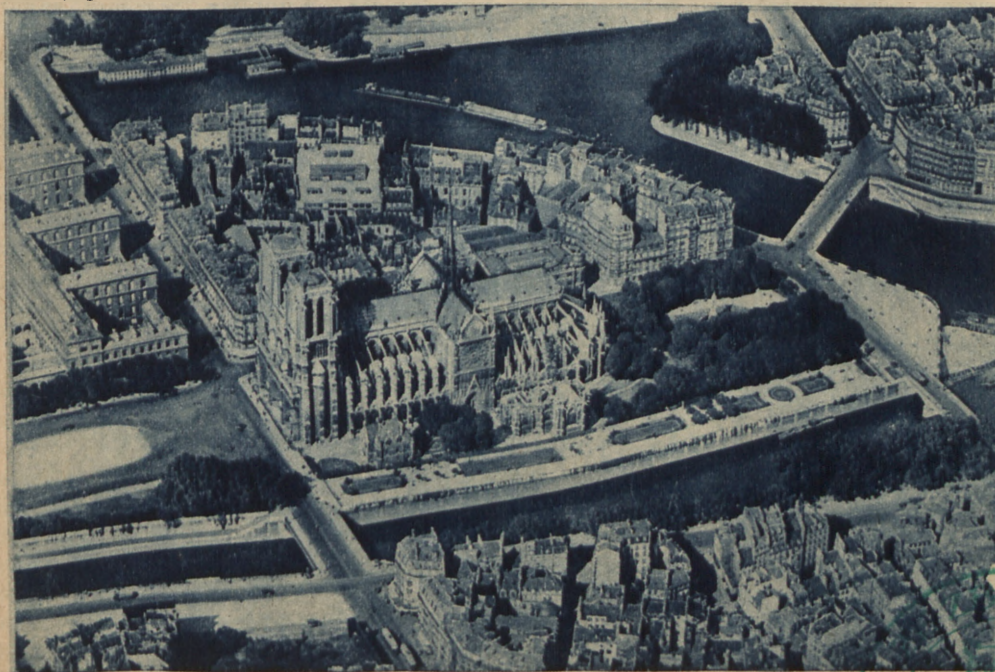
Paryż, stolica Francji, jest jednym z najstarszych, najpiękniejszych i największych miast Europy. Za czasów panowania Ludwika XIV stał się on ogniskiem kulturalnym całej Europy, a za rządów Napoleona I używał jej stolicy. Wprawdzie teraz Paryż nie wywiera takiego wpływu politycznego na Europę jak za Napoleona, ale mimo to zasługuje jeszcze dzisiaj na

nazwę stolicy Europy a nawet świata. Do Paryża zjeżdżają stale z całego świata setki tysięcy ludzi na naukę, za chlebem, dla obejrzenia zabytków architektonicznych i wreszcie dla zabawy i rozrywek. Przyjeżdżają na naukę, ponieważ Paryż jest najlepiej z wszystkich stolic zaopatrzony w szkoły i biblioteki. Zjeżdżają malarze, bo Paryż posiada najwyższą stojącą szkołę sztuk

pięknych i jedną z najwspanialszych galeryj obrazów w Luwrze. Lekarze przyjeżdżają do największego instytutu bakteriologicznego im. Pasteura (czyt. Pastera), uczeni, ponieważ tutaj mają do dyspozycji ogromną ilość wspaniałe zaopatrzonych bibliotek i wreszcie krawcy, którzy poznają w Paryżu tajemnicę „szyku” paryskiego, będącego cechą strojów damskich pochodzących z Paryża. Do Paryża emigruje moc ludzi za chlebem, bo kwitną tutaj niemal że wszystkie gałęzie przemysłu, w których można dostać zatrudnienie. Przyjeżdżają turyści, aby obejrzeć zabytki Paryża; piękne budowle, muzea, których w Paryżu jest bardzo duża ilość, teatry, rewje i t. d. I wreszcie odwiedzają Paryż ludzie chcący się zabawić, ponieważ jest on siedliskiem najbardziej wyszukanych i urozmaiconych rozrywek. W żadnym mieście, poza może Nowym Jorkiem, nie rozbrzmiewa tyle przeróżnych języków i przez żadne miasto nie przewijają się tyle narodów, co przez Paryż.

Najstarszą częścią Paryża jest Wyspa Cité (czyt. Site, śródmieście). Jest to wyspa na Sekwanie, rzecze opływa-

jącej Paryż. Na wyspie tej mieści się Pałac Sprawiedliwości na miejscu dawnego zamku królewskiego. Przytyka do niego prześliczna kaplica nazwana Świętą Kaplicą, którą wybudowano w XIII w. w stylu gotyckim. Wchodziła ona w skład zamku królewskiego i podzielona na dwie części, a właściwie dwie kaplice, służyła królowi Francji i jego dworowi. Jedna kaplica, znajdująca się na dole, była przeznaczona dla dworu, a druga wspanialsza na piętrze dla króla, rodziny królewskiej i ludzi najdosłojniejszych, stojących najbliżej króla. Drugą przepiękną budowlą średniowieczną na Wyspie Cité jest kościół Notre Dame de Paris (czyt. Notr Dam de Pari, Matka Boska Paryża), jeden z cudów architektury gotyckiej. Budowano go przez przeszło pół wieku a kamień węgielny pod niego położył papież Aleksander III i król Ludwik VII. Trudno jest opisać przepiękną tę budowlę. Fasada jej ma trzy wspaniałe portale ozdobione rzeźbami w kamieniu. Dwie ścięte wieże pokryte są całe rzeźbami nakszałt delikatnej koronki z kamienia. Ogromne wnętrze kościoła składa się z pięciu naw po-



WYSPA CITE





PALAC SPRAWIEDLIWOSCI

przedzielanych szeregiem olbrzymich filarów.

Po drugiej stronie Wyspy Cité na drugim brzegu Sekwany znajduje się stara dzielnica Paryża t. z. Dzielnica

Łacińska. Tutaj mieści się jeden z najstarszych uniwersytetów Europy, Sorbona, a wokół niej grupują się różne inne szkoły. Wpobliżu Sorbony znajduje się dawny kościół św. Genowefy



ŁUK TRIUMFALNY



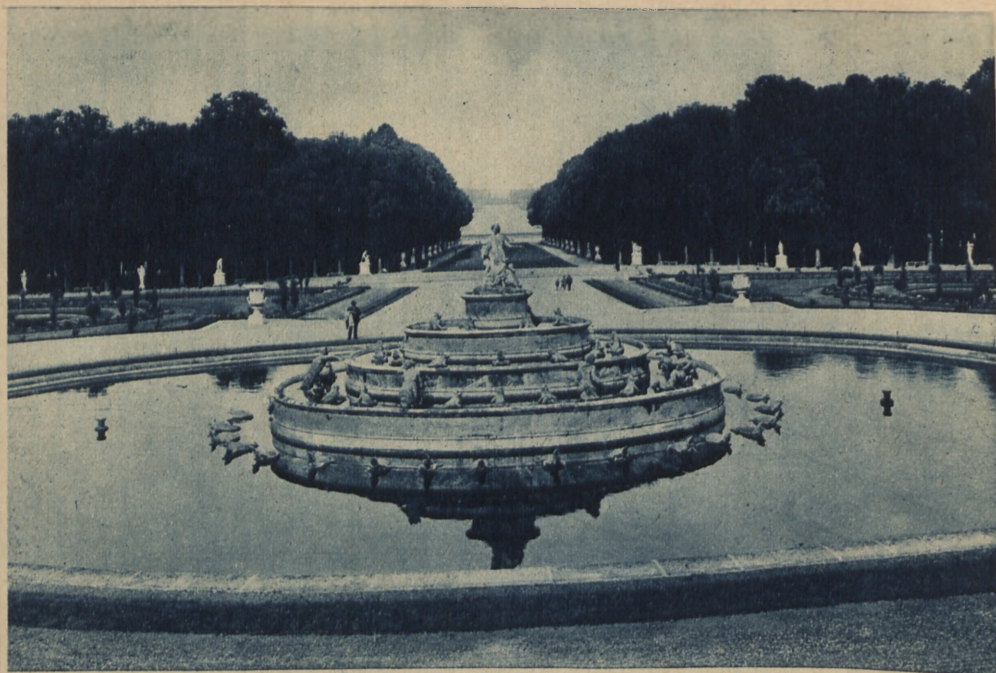
GROBOWIEC NAPOLEONA

zamieniony z końcem XVIII w. na Panteon, ogromną świątynią narodową Francuzów. Na frontonie Panteonu widnieje duży napis: „Wielkim ludziom wdzięczna Ojczyzna”. W podziemiach jego są złożone prochy wielkich synów Francji. Niedawno zostało złożone w Panteonie ciało naszej wielkiej rodaczki, Marji Curie-Skłodowskiej, wynalazczyni radu. Wnętrze Panteonu wypełnione jest posągami wielkich ludzi zasłużonych Francji i pomnikami ku czci nieznanych bohaterów francuskich, zwycięzców i poległych na polach walki. Naprzeciwko Panteonu znajduje się piękny ogród luksemburski z budynkiem senatu Francji i małym budynkiem galerji obrazów i rzeźb.

Dalej, już w innej dzielnicy, jest t. zw. Hotel Inwalidów. Są to właściwie koszary wybudowane przez Ludwika XIV. Obecnie mieści się tam ministerstwo wojny z muzeum wojskowym, kościołem wojskowym i sarkofagiem Napoleona, który swojemi wspaniałemi zwycięstwami wślawił imię Francji po całym świecie. Wdzięczni Francuzi wybudowali mu przepiękny grób, który oglądają z zachwytem wszyscy przybywający do Paryża. Jest to okrągła bu-

dowla przylegająca do kościoła wojskowego. Na środku jej umieszczono marmurową trumnę z prochami Napoleona. Naokoło tej trumny wiszą sztandary zdobyte na nieprzyjaciółach w wojnach napoleońskich. Niektóre z nich poszarpane w walce, inne rozpadają się, nadgryzione zębem czasu, parę tylko dochowało się w całości. W bocznych wgłębieniach znajdują się pomniki wielkich zwycięstw Napoleona. Najpiękniejsze jest i największe wrażenie wywiera tu oświetlenie. Grób Napoleona zawsze jest skąpany w słońcu, choćby niebo było zachmurzone i ani jeden promień słońca nie przedostawał się na ziemię. Efekt ten wywołany jest żółtymi witrażami, które zabarwiają padające przez nie światło.

Najpiękniejszą częścią Paryża jest przestrzeń ciągnąca się od Luwru poprzez ogrody tuileryjskie, Plac Zgody, Pola Elizejskie do Łuku Triumfalnego. Luwr jest to dawny zamek królewski, w którym dzisiaj mieści się muzeum sztuki i ministerstwo finansów. Muzeum Luwr jest tak ogromne, że aby je obejrzeć dokładnie, trzeba by zwiedzać je codziennie przez parę miesięcy. Jest anegdota, że wielki pisarz francuski,



JEDEN Z DZIEDZINCÓW LUWRU

Anatol France, przez całe swoje życie dzień w dzień odwiedzał Luwr i twierdził, że życia całego mu nie starczy, aby mógł tam wszystko obejrzeć. Luwr jest największym na świecie muzeum sztuki. Posiada on bezcenne zbiory największych mistrzów pędzla czasów

dawnych i późniejszych, rzeźby antyczne i nowoczesne, wspaniałe dzieła sztuki egipskiej, asyryjskiej i chińskiej. Do ogromnej i rozłożystej budowli Luwru przylegają ogrody tuileryjskie. Ozdobione wieloma statkami z kamienia i marmuru, wodotryskami



PANORAMA PARYŻA

i pięknymi klombami kwiatowymi ciągną się do placu Zgody, który jest najpiękniejszym i największym placem Paryża. Na środku tego placu umieszczono wysoki obelisk a po obu jego stronach ogromne fontanny. Plac otoczony jest ośmioma personifikacjami miast francuskich. Po przeciwnej stronie placu, jakby w przedłużeniu Tuileryj, są Pola Elizejskie, ozdobione tak samo jak Tuilerje pięknymi fontannami i klombami. Jest to miejsce spacerów Paryżan.

Idąc Polami Elizejskimi dochodzimy do potężnego Łuku Triumfalnego 50 m wysokości, 45 m szerokości i 22 m grubości. Łuk Triumfalny został wybudowany w r. 1836. Zdobia go wspaniałe artystyczne rzeźby. Wyryte są na nim najważniejsze zwycięstwa armji francuskiej do r. 1836 i nazwiska 386 generałów, którzy brali udział w wojnach Republiki Francuskiej i Cesarstwa. Pod samym łukiem znajduje się grób Nieznanego Żołnierza z wiecznie płonącym zniczem. Łuk stoi na środku placu zwanego placem Gwiazdy, ponieważ bierze z niego początek 12 wielkich ulic rozchodzących się w kształcie gwiazdy.

W pobliżu Tuileryj znajduje się plac Vendôme z piękną kolumną tej samej nazwy, pokrytą rzeźbami w brązie, która została przetopiona z 1200 dział zdobycznych na wrogach.

Z nowoczesnych budowli w Paryżu sławna jest wieża Eiffla, mająca 300 m wysokości, skonstruowana z samego żelaza. Z wierzchołka jej rozpościera się wspaniały widok na Paryż. Wieża ta znajduje się na Polach Marsowych, na których odbywały się wystawy światowe,



NOTRE DAME

we, jest ona właśnie pozostałością ostatniej wystawy z r. 1900.

Dużo jest jeszcze w Paryżu rzeczy godnych widzenia. Są jeszcze place jak: plac Republiki z pomnikiem Republiki, Plac Bastylji na miejscu zburzonej w 1793 r. Bastylji, Plac Narodowy (Place de la Nation), na którym odbywają się zabawy ludowe. Z kościołów godny widzenia jest Sacré Coeur (Sakre Kőr) wznoszący się na wysokiej górze. Z cmentarzy interesuje nas, Polaków, Montmartre, na którym pochowany był wielki poeta polski Juliusz Słowacki i cmentarz Montmorency, gdzie spoczywały zwłoki naszego wieszcza Adama Mickiewicza, przed przewiezieniem ich do Polski. Paryż posiada 50 muzeów z przeróżnymi cennymi zbiorami i każde warto obejrzeć. Sławny jest Paryż z wielkiej ilości do-

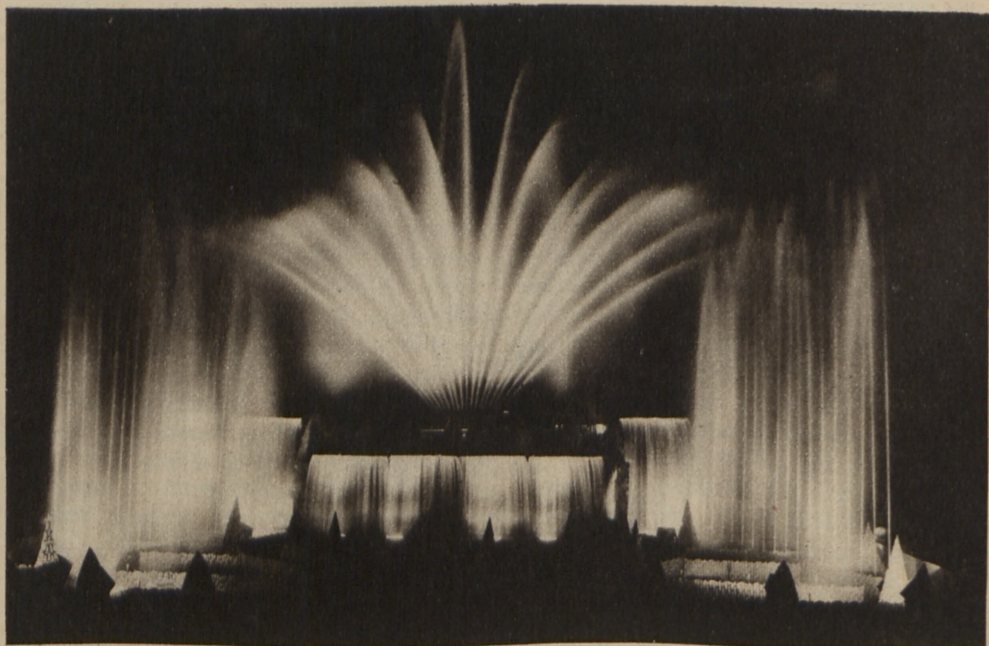


WERSAL

skonałych teatrów. Posiada największą z wszystkich wielkich miast ilość ogrodów, parków i skwerów. Na dwóch przeciwnych krańcach Paryża znajdują się lasy, które są celem niedzielnych wycieczek Paryżan. Jest to La-

sek Buloński i las Vincennes (czyt. Węsen) z zabytkowym zamkiem tej samej nazwy.

O 18 klm od Paryża położone jest miasteczko Wersal z wspaniałym, przebogatym pałacem, wybudowanym przez



WODOTRYSKI



MOST ALEKSANDRA III

Ludwika XIV, który chciał mieszkać zdaleka od gwarne go i burzliwego Paryża. Zgromadził tedy wszystkich najlepszych architektów, rzemieślników, najslawniejszych malarzy i rzeźbiarzy, którzy stworzyli istne cacko wypełnione po brzegi przeróżnymi dziełami sztuki. Do Wersalu przytyka ogromny ogród z wielkiem jeziorem, tudzież różnemi sadzawkami, wodotryskami, posągami i t. d. W tym to Pałacu Wersalskim w r. 1919 został po wielkiej wojnie światowej zawarty pokój, noszący nazwę Pokoju Wersalskiego.

Drugim pięknym zamkiem pod Pa-

ryżem jest zamek w Fontainebleau (czyt. Fąteneblo), starszy dużo od Wersalu, otoczony dużym i bardzo malowniczym lasem, w którym odbywały się polowania królewskie. W zamku tym jest sadzawka z bardzo starymi karpiami. Opowiadają, że jeden z nich żyje 400 lat, co nie wydaje się jednak prawdopodobne mimo znanej długowieczności karpia.

Trudno jest opisać wszystkie piękne i godne widzenia rzeczy w Paryżu, jest ich bowiem tak dużo, że szczegółowy ich opis wypełniłby całą grubą książkę.

Marja Hryniewiecka

HISTORIA JOANNY D'ARC

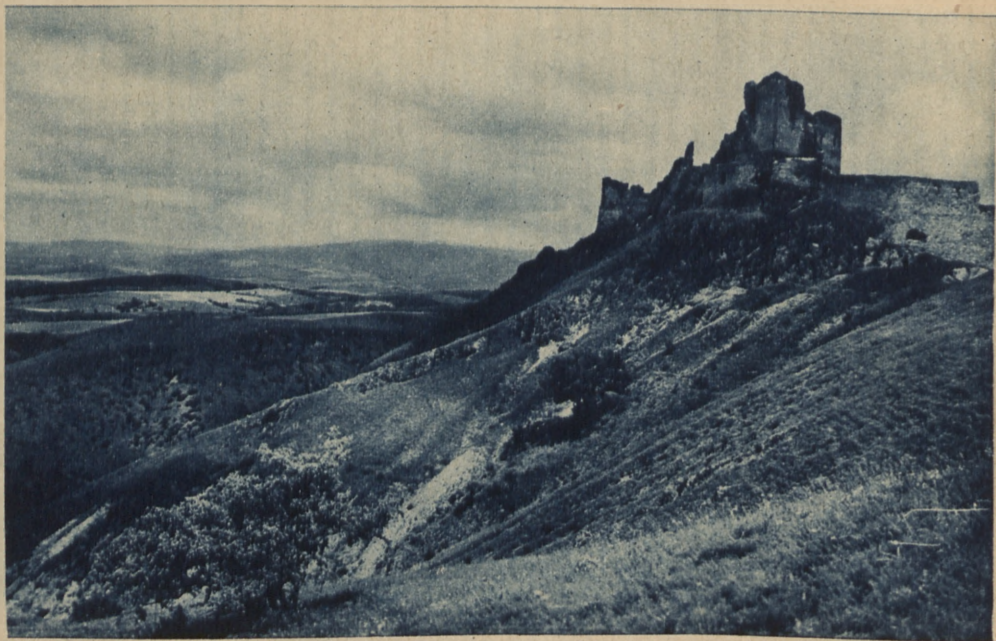
Joanna była cicha i nieśmiała. Żyła w otoczeniu wiejskiem, wśród starych drzew i bujnych pól Szampanji, w wiosce Dôm Remy.

Przybrani rodzice kochali ją bardzo i ona ich wzajem. Toteż zmartwili się niezwykle, kiedy pewnego wieczora Joanna wróciła z pól z twarzą zmienioną, jakby płonąca i rzekła:

— Słyszałam wśród drzew głosy. Ka-

zały mi bronić naszej słodkiej ojczyzny, Francji...

A Francja była wówczas pogrążona w nieszczęściach. Król, niekoronowany nawet jeszcze, był niedołężny i nie umiał poskromić panów i wielmożów, którzy swoje tylko dobro mieli na względzie. Anglicy pustoszyli ogniem i mieczem północne prowincje tego kraju, ba, nawet i środkowe. Wojna



KRAJOBRAZ FRANCUSKI

trwała od wielu lat, a właśnie za czasów Joanny dotarła i do serca Francji, do miasta Orlean.

Opiekunowie Joanny, widząc ją tak zmienioną i jakby natchnioną, wysłali ją naprzód do znajomego biskupa, aby on, jako człowiek światły i wykształcony, rozeznał, co się dzieje z dziewczęciem.

Po dłuższej z nią rozmowie uznał ją biskup za natchnioną niezwykłymi mocami i powiódł przed oblicze tułającego się z resztkami wojsk króla.

Król rozkazał przyjąć ją wspaniale i z wielkimi honorami, ale równocześnie chciał wypróbować jej natchnienie podstępem. Ukrył się więc w gromadzie dworzan, a na tronie zamiast niego zasiadł jeden z wodzów.

Ale Joanna, wszedłszy na salę, objęła obecnych płomiennym spojrzeniem, poczem podeszła szybkim krokiem wprost do króla.

Uwierzył. Nakazał wypełnić wszystkie życzenia Joanny. Poddął jej władzy wszystkie swoje wojska, choć wodzowie sarkali, twierdząc, że to dziewczę, które w życiu ze sztuką wojenną nie miało

do czynienia, wygubi rycerstwo w pierwszej bitwie.

Ale stało się inaczej. Wojska pod dowództwem dziewicy zakutej w pancerz walczyły, jak nigdy. Ze sztandarem Francji w dłoni, na wspaniałym, białym rumaku prowadziła zbrojne zastępy do boju i zwyciężała.

Najciężej było ze zdobyciem Orleanu, miasta warownego i obsadzonego silną załogą. Mijały dnie, biły działa, rzucające kamienne pociski, setki ognistych strzał leciały na miasto z francuskiego obozu. Wreszcie pewnego dnia podczas szturmowania ranił ją Joannę, ale potężne wieże Orleanu zdobyto.

Wśród radosnej wrzawy, przy biciu dzwonów wjechała Joanna do miasta, jako jego oswobodzicielka. Odtąd nazywano ją Dziewicą Orleańską.

Doczekała się jeszcze większych radości ta cicha i nieśmiała niegdyś dziewczyna z Dôm Remy. Poprowadziła władcę Francji na uroczystą koronację do Reims, do odwiecznej katedry najdawniejszych królów. Oczy jej wiele jeszcze oglądały zwycięskich bitew i potyczek. Aż wreszcie zgasła jej gwiazda.

Skoro tylko Francja stała się kra-

jem, w którym znów można było swobodnie oddychać, zaczęły się swary i kłótnie wielmożów. Smutno było Joannie w ojczyźnie, której odrodzenie nie tak sobie wyobrażała. Kiedy w jednej z utarczek wrogowie schwytali ją, wojska królewskie nie ruszyły na ratunek słodkiej Dziewicy. Bo wodzowie byli jej niechętni z zazdrości, że dziewczę wygrało wojnę, której oni wygrać nie mogli. A i król Karol nie kwapił się ku jej obronie. Gniewało go, iż lud w całym kraju uwielbiał Joannę i mówił, że król z jej rąk otrzymał koronę.

Anglicy uwięzili Dziewicę Orleańską w ponurej wieży w mieście Rouen, które jeszcze było w ich rękach. Stawili ją przed sądem duchowieństwa miejscowego, oskarżając dziewczkę z Dôrn Remy o czary.

Długo trwał proces. Średniowiecznym obyczajem stosowano do nieszcześliwej tortury, które znosiła mężnie, smucąc się tylko, że natchnienie ją opuściło. Zarzucano jej zarówno czary, jak herezję, usiłowano ją przekonać, że głosy, które słyszała w rodzinnej wiosce, były głosami złych sił.

Mimo, że broniła się na sądzie mężnie i z godnością, skazano ją na okropną śmierć przez spalenie żywcem. Poniosła męczeństwo w roku 1431, to znaczy w czasie, kiedy w Polsce król Władysław Jagiełło walczył z bratem swoim Skirgiełło.



KATEDRA W ROUEN

Gdy stos Joanny płonął na rynku Rouen, chmury okryły niebo i mrok zapadł dokoła głęboki. Wówczas jeden z rycerzy angielskich rzekł głośno:

— Biada nam! Spaliliśmy świętą!

Kilka lat temu kościół katolicki uznał ją oficjalnie za świętą i patronkę Francji.

H. Z.

CZAR ULICY PARYŻA

Posuwamy się krok za krokiem. Łeb konia naszego pojazdu dotyka następnego. Obejrzawszy się widzę oczy i chrapy ogromnego perszerona tuż za moimi plecami. Ulica Lafayette, to dzielnica handlowa, dzielnica ruchu kołowego, zajmującego zwartą masą jezdnię od chodnika do chodnika. Krok za krokiem, ani mowy o wymijaniu się w tej stłoczonej fali.

Nareszcie skręcamy w boczną ulicę. Mijają nas omnibusy ogromne, chwylające się na wysokich kołach, pochylające się na prawo i lewo. Omnibusy wypełnione po brzegi na dole i na da-

chu. Tak! na dachu, chwytając równowagę, siedzą dwa rzędy pasażerów. Którędy tam weszli? Aha, tak! Przez kręte żelazne schodki, po których wspinają się wsiadający i schodzą podczas ruchu żółtego wehikułu.

Nie, nie pojedę tam na dachu tej trzęsącej się arki Noego!

Pojechałam jednak i przyznać muszę, że nie było miśszej jazdy jak na tym właśnie „imperialu”, na wysokości około jednego piętra. Siedzi się zresztą dość wygodnie, zdołu tylko ta jazda tak niemiło wygląda.

A więc w drogę, wielkimi bulwara-



PRZED TEATREM

mi Paryża, śladem dawnych murów starego miasta.

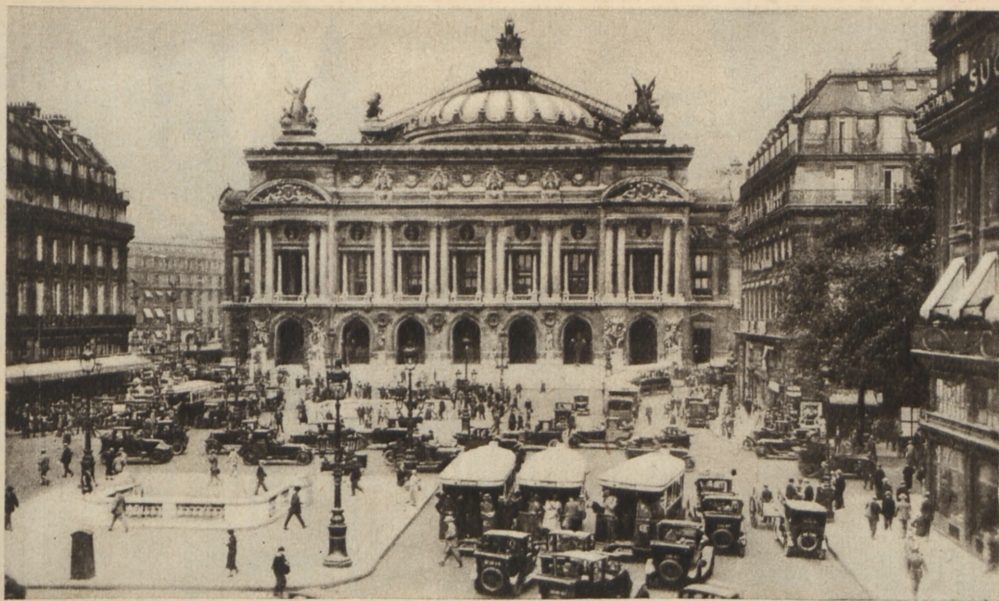
Oto plac Rzeczypospolitej, z olbrzymim posągami na środku, uosabiającym ową właśnie Rzeczpospolitą. Oto bramy Św. Marcina i Św. Dionizego, które zamykały obronne mury Paryża, a oto najruchliwsza, najpiękniejsza część bulwarów, bardzo szeroka ulica wysadzana kilkoma szeregami drzew, z mnóstwem sklepów, magazynów, kawiarni... i tu się zaczyna czar ulicy Paryża.

Jest późna wiosna, słoneczny dzień, Paryż żyje na ulicy. Tłumy krążą po ulicach, jakże ruchliwe, wesole, gestykulujące. Wszystkie drzwi magazynów otwarte, niech wchodzi powietrze, słoń-

ce i kupujący! Pół magazynu zresztą wyległo na chodniki. We wnękach drzwi, na ustawionych stołach ułożono materiały, ubrania, porcelanę, zabawki. Gromadzą się wokoło przechodnie, oglądają, targują.

Kawiarnie wystawiły stoliki i krzesła wprost na chodniki. Ci siedzący w kawiarni i ci krążący po ulicach — to jedno. Wszyscy razem żyją w tym gwarze, ruchu pojazdów, omnibusów, i tramwai, w tym tumulcie pełnym porywającego rozmachu.

Wiosna! Pęki kwiatów w rękach kobiet. Wiosna koło kościoła Św. Magdaleny, co stoi jak świątynia grecka zabłąkana wśród tego ludzkiego rojowiska. Na placu, przed kościołem kwia-



PLAC OPERY W PARYŻU

ty. Całe morze kwiatów, targ najpiękniejszy w świecie!

Ale co to? Wśród ulic zejścia wdół? To „metro”, tramwaje podziemne, dudnią głucho w podziemiach, pochłaniając co chwila gromady ludzi, a wyrzucając z głębi nowe, rozbiegające się po chodnikach usianych gęsto różnobarwnymi ogłoszeniami.

— To zaśmiecanie ulic — powiecie.

Może być, ale nawet ten nieporządek ulic Paryża jest porywający, jak całe to życie ulicy, widziane z imperjału omnibusu miejskiego.

Wjeżdżamy na jeden z mostów na Sekwanie. Jest ich całe mnóstwo, spinających, jak klamrami, oba wybrzeża. Rzeka dość wąska nie przeszkadza łączności między dwiema częściami Paryża. A wreszcie Sekwana, to jakby je-



WIEŻA EIFFLA



BULWAR

szcze jedna ulica więcej. Chodzą po niej stateczki parowe, takie wodne omnibusy i tramwaje. Przy każdym moście wysypują się jedni pasażerowie, a pospiesznie wsiadają drudzy, zbiegając do przystani z ulicy nadbrzeżnej, po której ciągną wozy ciężarowe, zaprzężone w trzy ogromne perszerony, jeden przed drugim. Taki dziwny zaprzęg.

Tu, na lewym wybrzeżu Sekwany, jeszcze żwawszy ruch handlowy. Drobnym handel już zupełnie wyległ na ulicę, wprost na chodnikach ustawiając stoły i schodki z towarami.

Wysiadamy. Trzeba przecież obejrzeć jeden z tych olbrzymich magazynów. Gmach wychodzi na cztery ulice. Pięter? Cztery, pięć czy sześć, trudno się dorachować w tych szeregach okien na piętrach i półpiętrach. Magazyn? Nie, to znów jakby część ulicy Paryża. Tysiące ludzi falą zalewają piętra, galerje, spływają po niezliczonych schodach, jadą windami, suną w górę na ruchomym chodniku. Każdy tu wchodzi, ogląda co chce, nieraz błędzi w tym labiryncie przejść, między rozstawionymi na sprzedaż towarami. I nagle, dziwnie się trafia wreszcie do wyjścia... już na inną ulicę. Wyjść nie tak łatwo! Mija cię wchodzący i wychodzą-

cy tłum, biegnący, spieszący się jak na pożar.

Zmierzcha się. Na bulwar św. Michała! Podjeżdża tramwaj. — Bierzymy numery na przystanku. Ostatni czas. Konduktor, jak nakręcona maszyna, wygłasza kolejne numery. Jak prędko! Ledwie można dosłyszeć. Jest nasz numer! Wskakujemy... — Komplet! — Rusza nasz wagon, bo już drugi go dogania.

Na bulwarze św. Michała, w oświetlonych już kawiarniach, pełno. Krążą też przekupnie przeróżnych drobnotek. Polują na cudzoziemców, ci najchętniej kupują — krążą śpiewacy uliczni, zwolna posuwa się zbita fala przechodniów.

Tak było przed wojną. Czy dziś jest inaczej? Nie! Miejsca dorożek konnych zajęły stłoczone na ulicy Lafayette — samochody. Zamiast pokrzykiwań woźniców — ryczą klaksony. W gwar ulicy wpadają dźwięki muzyczne. To megafony. Znikły stare „Arki Noego” i czarująca jazda na imperjału. Szkoda!

Zato wieczorem ulice Paryża lśnią i migoczą różnobarwnymi światłami, kręcą się wiatraki świetlne, migają napisy reklam. Miasto z bajki!

— Maniusiu, ty im powiedz prawdę! — prosi Rafek.

Ale ona ani be, ani me. Zupełnie jak szpieg na śledztwie.

— Odkładamy sprawę do jutra — kończy Chińczyk, zabierając przedmioty ze stołu. — Jutro Mania musi nam dać wytłomaczenie swojego czynu. Jeżeli nie, odbędzie się braterski sąd. A teraz kładźcie się, nie chodźcie boso!

I znowu jakieś zło zakłóciło spokój naszego Dworu! Znów jest nam przykro i nie wiemy co myśleć o całej sprawie. Żal mi Mani i zły jestem. Kiedy nareszcie wyjaśni się te wszystkie zagadki?

ROZDZIAŁ 10.

Listy.

Na drugi dzień po wykryciu „kradzieży”, mamy smutne miny przy śniadaniu. Pogoda jest niewyraźna, bawimy się bez humoru. Po obiedzie ma się odbyć sąd nad postępowaniem Mani. Ona nadąsana i czerwona od płaczu, nie chce z nikim gadać. Chińczyk chodzi poważny, nie uśmiecha się swoim kochanym, porozumiewawczym uśmiechem. Siadamy bez apetytu do obiadu. Jakiś ciężar przytłoczył dziś nasze myśli. Tymczasem, o dziwo! Chińczyk przychodzi do tronowej najwyraźniej zadowolony, z pogodną twarzą...

— Dzieci — mówi po słodkim — mam dla was dobrą nowinę...

na! Prawdziwa sarna! Boję się odetchnąć żeby jej nie spłoszyć... Ach, jaka cudna! Czy widział z was kto żywą sarnę? Wiecie jak wygląda na tle zieleni? Patrzy na mnie uważnie... trwożliwie... Poruszyła się... zatrzeszczała gałązka... A Pestka, jak nie wrzaśnie:

— Wilk! Wilk!

Głuptas! Jeszcze więcej od niego przestraszyła się sarna. Uciekła galopem w zarośla.

— To sarna była! Ty gapo! Spłoszyłeś!

— Daj jej Boże zdrowie! Ale mnie nastraszyła dosyć! W takim dużym lesie może być każdy zwierz! Lepiej my wróćmy, Lutek, my jesteśmy za daleko... Ja nie słyszałem dawno gwizdka opiekuna...

— Czekaj, zjemy jeszcze jeżyn.

Myślałem sobie, jedząc, o sarnie. I jeszcze o innej sarnie, którą widziałem zeszłego roku, w mieście. Wisiała na ścianie, przed drzwiami sklepu, z rozstawionymi kopytkami, z zakrwawionym, obwiązany pyszczkiem... Wyglądała okropnie smutno. A ludzie zatrzymywali się i patrzyli. Jak można zabijać takie cudne stworzenia?

Nie wiem jak długo mogliśmy zbierać te jeżyny, gdy nagle zrobiło się ciemno i zupełnie niespodziewanie huknął piorun...

Rafek chwytą mnie za rękę:

— Co to jest? Burza?

— Ano słyszysz! Wracamy!

Już słysząc gwizdek na zbiórkę. Zbiegamy się w popłochu.

— Wszyscy są? Prędszej, dwójkami! A gdzie Basia?

Chińczyk gwizdże jeszcze parę razy, my wołamy:

— Basiaaaa! Basiaa!

— Z kim chodziła?

— Najpierw to że mną, a potem szama...

Ale właśnie z zarośli wychodzi zguba ze swoim koszykiem.

— Co to będzie? Co będzie? — krzyczy.

— Z czym? Deszcz będzie. Wracamy!

— Ale bo ja... bo podwieczorek...

— Idziemy! — woła Chińczyk.

A grzmoty znów: du... dudu..., jakby kto wielkim wozem po niebie jechał...

— Ja się boję! — krzyczy Tomek.

— Proszę pana... ja chciałam... co to będzie?

Ale nikt nie słucha co mówi Baśka. Bierzemy nogi za pas i w drogę! Stefan nawołuje Nera. Pies niechętnie opuszcza gęstą murawę, leniwie wytacza się z zarośli. Teraz dopiero zauważyłem jak nasz psiak utył na lotnisku...

Zaczyna kapać deszcz. Ciężkie, rzadkie krople zsuwają się z sosnowych gałęzi. I znowu błyskawica... Niedawno było tu tak pięknie i przyjemnie, a teraz tylko marzymy żeby dom był prędszej!

— Daleko jeszcze? — dopytuje się ciągle

łożył na stole: czapkę Stefka, pudełko papierosów, popsute klisze, portmonetkę z pieniędzmi...

— Proszę pana! Te rzeczy znalazłem w kuferku Mani!

W drzwiach od dębowej stoją już inne dziewczyny, poowijane w długie szaty prześcierałowe. Wyglądamy jak jakiś komiczny sąd, ale nie śmiech nam teraz w głowie...

— Wiemy kto ukradł! Nasza Manusia! — krzyczy Stefan.

Chińczyk uważnie przygląda się przedmiotom. Trusia przysła, pyta Manię:

— Dlaczego to zabrałaś?

A ta nie, tylko płacze.

— Maniu, uspokój się, czy to ty wzięłaś te rzeczy?

— Ja nie wiem, ja nie nie wiem...

— Ojej! Ojej! — dziwi się Rafek i wybałusza okrągłe oczy. — Jak to może być?

— To niemożliwe! To nie ona! — próbuje bronić koleżanki Kazia.

Ale Mania nie przeczy. Nawet gdy już przestała płakać, nie zapiera się. Urągamy głośno. My posądzaliśmy Romana! Jakaż to niespodzianka! Co jej przyszło z tej kradzieży? Dlaczego się wcześniej nie przyznała? Chińczyk, po powrocie z Warszawy, powiedział, że przedłuży czas oskarżenia do końca wakacji. Widocznie sam posądzał także Groźnego...

Jeszcze długo rozmawiamy o byle czem, dokazujemy. Edek się śmieje:

— Niewolnicy w łózkach!

Nie możemy wstać, bo nasze ubrania mokrzuteńkie suszą się w kuchni.

Nagle Ed woła:

— Mam pomysł! Zawinę się w prześcieradło, pójdę do dziewczyn, wykradnę Maniusi z kuferka czekolady... Napewno ma całe zapasy...

— Skądżeby?

— No, zobaczę, może chowa...

— Już cię korci?

— Tak na niby... Może da nam trochę z dobrej woli, gdy się przestraszy...

Chciało nam się śmiać i dokazywać, więc nikt Edka nie zatrzymywał. Chińczyk i Trusia byli w tronowej, Ed wy dostał się niepostrzeżenie do dębowej. Po dłuższej chwili wraca, ale bardzo zły, zmieniony, a za nim płacząc, idzie Mania, też owinięta w prześcieradło... Wyglądają tragicomicznie. Edek przyciska do siebie jakieś przedmioty. Jest wzburzony, brwi ma nastroszone.

Wychylamy się spod koców.

Mania płacze:

— Nie rusz! Oddaj!

A Edek do mnie:

— Wstań, Lutek, idź po Chińczyka. Zaraz! Ładna historja!

Gdy wracamy z panem, Mania beczy, Edek roz-



Nero dobrał się do koszyka, wyjadł kielbasę.

Tomcio i szybko przebiera trochę krzywemi nogami.

— Proszę pana — mówię, — tam są wielkie dęby, schowajmy się, może przeczekamy...

— Czyś ty sam z dębu spadł? — krzyczy Edek — nie wiesz, że broń Boże pod drzewo w czasie burzy?

— Oj! Przecie tu same drzewa! — jęczy Tomek i nie śmie podnieść głowy w górę.

Kazia po każdej błyskawicy zasłania sobie oczy ręką, jakby to co pomogło.

— Dobrze, że niema Mani! Dopieroby się bała! — pocieszamy się.

Nagle jak rymnie gdzieś blisko! O rety! Aż w uszach zabolęło... Dziewczyny w bek, Tomcio za nimi... Mało już kto udaje odważnego. Bo też straszno zrobiło się w lesie! Wiatr szumi w gałęziach, jakby tu pełno duchów chodziło, ptaki umilkły, ciemno, echo grzmotów dudni... O, wcale nie przyjemny spacer!

— Trudno — mówi Chińczyk — wpadliśmy. Ale kto mógł się dziś spodziewać burzy? — Tylko nie bójcie się, zaraz przejdzie. Jesteśmy już w połowie drogi... Zaraz przejdzie...

Wiemy, że to tylko pocieszanie, bo deszcz coraz większy, błyskawice jedna po drugiej... Zaczynamy teraz biec, pan wziął na ręce Tomka. Stefan niesie Nera, Edek kuleje na końcu. Ja ciągnę Rafka za rękę.

Żeby jaki dom po drodze!

Och, jakże tęskniliśmy do Chińskiego Dworu, żeby go wreszcie zobaczyć!

Już nie słyhać teraz słów, szum deszczu i wiatru zagłusza nasze głosy. Gałęzie nie osłaniają, ulewa bije gęstymi strugami w plecy...

Do końca życia będę pamiętał ten pochód przez ciemny las!

Jakże radośnie witamy wreszcie próg naszego domu! Jesteśmy przemoknięci, kapie z nas woda, jak z rynny... Ale burza już przechodzi, niebezpieczeństwo żadne już nie grozi, więc odrazu przestajemy się martwić. Co nas teraz obchodzą błyskawice? Jesteśmy w swoim Dworze! Kochanym Dworze! Przechwalamy się przed Maniusią jak było strasznie, niebezpiecznie...

— A ja siedziałam cały czas pod kocem — przyznaje się Wstańka — myślałam, że już was wszystkich pozabijało!

— Tak co do jednego? — śmieje się Chińczyk. Ociera wodę z czoła i komenderuje wesoło:

— Rozebrać się! Do łóżek marsz!

Nie czekamy długo! O, jak świetnie wyciągnąć na sienniku zmęczone nogi!

Wpadamy w wyśmienity humor. Trusia roznosi nam do łóżek kubki z gorącą herbatą.

Ale do chleba niema kielbasy, dlaczego? Dowiadujemy się od Trusi, że Basia miała przygodę z naszym podwieczorkiem... Nie przyniosła nic w koszyku... Zostawiła zapasy pod drzewem, Nero dobrał się do koszyka, wyjadł kielbasę...

A na ten Paryż dawniejszy i dzisiejszy patrzą odwieczne, fantastyczne potworki z galerji kościoła Notre-Dame, arcydzieła architektury, sprzed setki lat. Patrzy od lat kilkudziesięciu, okiem lampy elektrycznej u szczytu, trzystu-

metrowa wieża Eiffla — arcydzieło sztuki technicznej.

Czar ulicy Paryża, to czar jakiego próżnoby szukać w jakimkolwiek mieście świata.

Marja Gerson-Dąbrowska

WIEWIÓRKA MARYNI

Kasia wpadła do domu zdyszana, zarumieniona od szybkiego biegu.

— Oho, panna Katarzyna chce nam powiedzieć coś ciekawego! — zawołała ze śmiechem starza siostra, Anielka.

Bo tak już było zawsze, że kiedy Kasia wracała ze szkoły, musiała zaraz opowiadać siostróm, co usłyszała od pani w klasie.

— Dziś pani czytała nam takie śliczne opowiadanie o wielkiem poecie polskim, Adamie Mickiewiczu i o jego córce, Maryni — oznajmiła Kasia. — A ty napewno nie znasz tej historii i odrazu śmiejesz się ze mnie!

Anielka odpowiedziała z udaną powagą:

— No, to mów. Zobaczymy, czy nie znam.

Dwie młodsze siostrzyczki, Krysia i Ela przybiegły z pośpiechem, żeby także posłuchać ciekawej historyjki.

— Bardzo, bardzo dawno, prawie sto lat temu — zaczęła Kasia — Mickiewicz mieszkał w Paryżu...

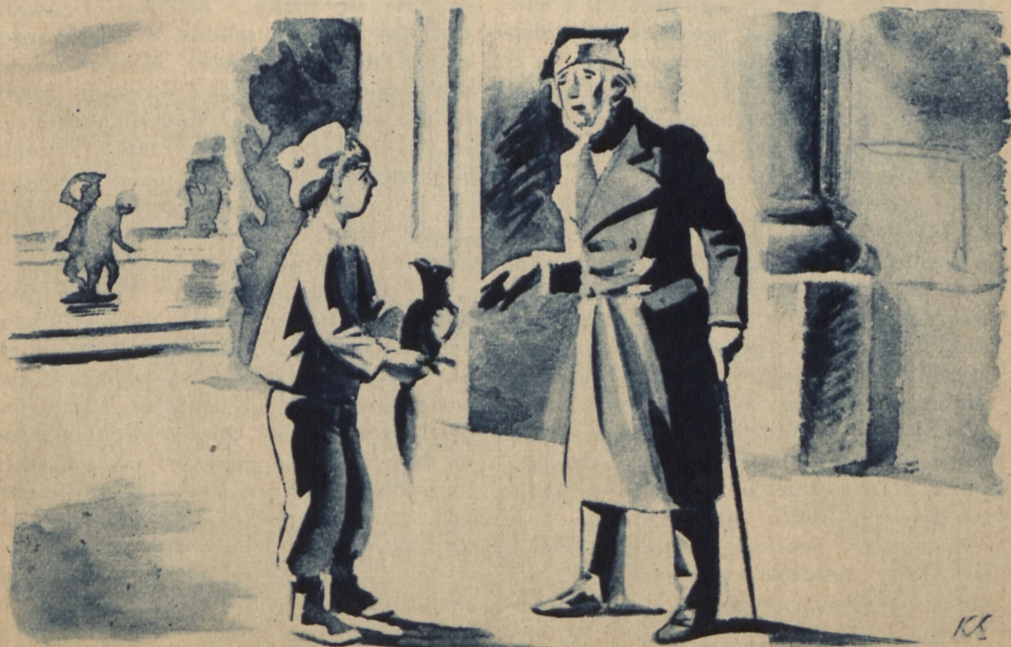
— Dlaczego w Paryżu? — przerwała Krysia. — Przecież Adam Mickiewicz był Polakiem.

Kasia zastanowiła się:

— No, bo musiał wyjechać z Polski i przez długie lata tułał się po obcych krajach.

Ale młodsze dziewczynki nie rozumiały tego tłumaczenia, dopiero Anielka wyjaśniła im to dokładniej.

— Wiecie, że w czasach, kiedy żył Mickiewicz, Polska była w niewoli u zaborców. I każdy Polak, który próbował



uwolnić Ojczyznę od wrogów, był narażony na prześladowania. Adam Mickiewicz także został wysiedlony z kraju i nie wolno mu było nigdy już powrócić do Polski.

— Aha, teraz już wiem! — zawołała Ela.

Kasia z uznaniem spojrzała na starszą siostrę:

— Właśnie tak było, tylko ja nie umiałam tego tak dobrze powiedzieć, jak ty. Więc kiedy Mickiewicz osiadł wraz z rodziną w Paryżu, Francuzi zaprosili go, aby wykladał w kolegium francuskim.

— A co to jest kolegium? — spytała Krysia.

— To taka wyższa szkoła, gdzie się uczą dorośli. W tym czasie, kiedy poeta został profesorem, najstarsza córeczka jego, Misia, miała dopiero siedem latek.

Była bardzo rozpieszczona i pewnego razu, kiedy zobaczyła gdzieś wiewiórkę, zaczęła się napierać, żeby jej tatuś kupił taką samą.

— Jabym także chciała! — wykrzyknęła Ela. — Bardzo lubię wiewiórki.

— Widzisz, więc Marynia tak długo prosiła swego tatusia, aż jej obiecał kupić.

I rzeczywiście, kiedy pewnego ranka zobaczył na ulicy małego chłopca z wiewiórką, natychmiast przypomniał sobie prośbę córeczki i kupił zwierzątko.

Kasia zatrzymała się na chwilę.

— I to już wszystko? — zawołała Anielka. — Wcale dziś nie jest ciekawie twoje opowiadanie.

— Gdzie tam! To dopiero początek — zapewniła Kasia. — Posłuchajcie dalej. Ranek tego dnia był bardzo chłodny, więc Mickiewicz wsunął wiewiórkę w zanadrze i zapiał dobrze surdut, żeby mu nie uciekła. A potem poszedł dalej. I dopiero po drodze przypomniał sobie, że właśnie dziś ma wykład w kolegium. Ale kiedy znalazł się w wielkiej sali i wszedł na katedrę, zapomniał zupełnie o zwierzątku, które siedziało cichutko pod surdudem. Dopiero, kiedy profesor zaczął wykladać, wiewiórce znudziło się siedzieć bez ruchu w ciemnej kryjówce i zaczęła się kręcić.

Krysia roześmiała się głośno:

— No, wyobrażam sobie, jak się czuł Mickiewicz z takim ruchliwym gościem w zanadrze. Napewno wkońcu wyskoczyła na salę!

— Nie. Ale nie wiele do tego brakowało, bo wiewiórka, skacząc i kręcąc się bezustanku, trafiła wreszcie w otwór rękawa i zaczęła się po ramieniu profesora zsuwać do wyjścia. Co było robić? Mickiewicz, który nie mógł przerwać rozpoczętego wykładu, drugą ręką chwycił copędzej rękaw u dołu, skrzył i trzymał mocno.

— I nie pogryzła go? — spytała Ela.

— Nie wiem. O tem pani nie mówiła. Przeczytała nam tylko, jak profesor przez całą godzinę musiał przytrzymywać rękaw, lękając się, że wiewiórka wyskoczy znienacka i jednym skokiem znajdzie się wśród publiczności, zebranej na wykładzie.

— Wiesz, Kaziu, — odezwała się Anielka, — że naprawdę nie znałam tej historii. A co się stało dalej z wiewiórką? Pewnie wielka była z nią uciecha w domu poety?

— O tak! Mała Misia całymi dniami przesiadywała przy zwierzątku. Ale radość trwała krótko, bo wiewiórka okazała się dzika i złośliwa. Uciekała z klatki i robiła szkody w mieszkaniu, a raz nawet pogryzła Mickiewiczowi poduszkę pod głową. Wreszcie kiedy biorąc orzech z ręki Marysi, ukąsiła ją w palec, przestraszona matka usunęła zwierzątko z domu.

— Ciekawa jestem, czy to opowiadanie jest prawdziwe. Nigdy o tem nie czytałam, — powiedziała Anielka.

— Najprawdziwsze! — zapewniła Kasia. — Pani mówiła nam, że właśnie ta Marynia, kiedy już była zupełnie dorosła, spisała dla braciszka różne wspomnienia o rodzicach. Bo Adam Mickiewicz umarł, kiedy młodsze dzieci były jeszcze małe. Pani obiecała nam drugi raz przeczytać z tej samej książki o tem, jak wielki poeta tęsknił do Ojczyzny.

— To nam znów opowiesz! — ucieszyła się Krysia.

Wanda Grodzieńska

CHOPIN W PARYŻU

— Patrz! — wykrzyknął nagle Maurycy, młody, osiemnastoletni student, zatrzymując się na środku ulicy. Spojrzał porozumiewawczo na przyjaciela. Anatol przystanął.

— Czy widzisz go? — zapytał cicho Maurycy, wskazując w stronę parującej, szeroko rozlanej rzeki. — Pochyla się właśnie nad Sekwaną. Wiatr rozwiewa jego długie, na ramiona spadające włosy, targa fałdliste szaty i chłodzi rozmarzone czoło. Głowa tego człowieka przypomina mi zawsze niebieskiego cherubina, anioła z gipsowej płaskorzeźby, lub wyblakłego fresku...

— Kto to? — szepnął Anatol.

— Fryderyk Chopin!.. Chyba nazwisko to mówi już samo za siebie, prawda?

— A więc to on, ten genialny Polak, wielki artysta muzyk, o którym mówi cały Paryż? O czym on może myśleć w tej chwili? — zastanawiał się Anatol.

— Chodźmy, bo zbliża się wieczór,

a mamy przecież dzisiaj być w Operze. Prędzej! — naglił.

Poszli dalej.

A na moście, przerzuconym nad piękną i szeroką rzeką, Sekwaną, stał samotny, ciemno ubrany człowiek. Chopin. Pochyliwszy się nad zaczerwienioną wodą, splótł ręce na piersiach i myślał. Często przychodził tutaj, bo rzeka ta przypominała mu zawsze ukochaną Wisłę, nad którą wyrósł, wychował się i wykształcił. Wystarczyło, by stanął o zmierzchu (kiedy mrok zaciera kontury) nad Sekwaną, a duszą był już w kraju najdroższym w świecie, w Polsce! Oddech wody przenosił go w ten czarodziejski świat. I teraz był również w Ojczyźnie. W tej chwili ucił wieczny ból, a na ustach zjawił się ledwie dostrzegalny uśmiech szczęścia...

Wydaje mu się, że jest młodym chłopcem. Znajduje się na Mazowszu. Gdzieś w zieleni rozkudłanych wierzb toczy się szafirowa Wisła. Wody wpraw-



dzie nie widać, ale zato słysząc jej matowy, usypiający szum, Szum ten myśli Fryderyk zamknąć w swych preludjach, nokturnach i sonatach. A obok szumi znów zboże, złoty las pszenicy, żyta i jęczmienia. Powietrze pachnie nagrzany piachem i macierzanką. Jest cicho i dobrze. Od strony sosnowego lasu, rosnącego na wydmach, biegnie wąska ścieżka. Stąd niedaleko do Żelazowej Woli, tam we dworze, schowanym w zieleni kwitnących lip, odbywają się uroczystości rodzinne gospodarza. Słychać brzęk instrumentów, oraz liczne, bardzo liczne głosy. Śpiewają. Fryderyk drży cały na dźwięk pieśni ludowej, a to śpiewają właśnie chłopci. Melodja leci za melodją, a wszystkie proste, serdeczne, wesołe, lub rzewne. Chłopiec notuje każdą nutę w pamięci. Potem jest na dożynkach i jakiejś wieczornicy. Na wai. Całym sercem wsłuchuje się w oberki, mazurki i kujawiaki, wygrywane przez wiejską kapelę. „To jest dopiero muzyka naprawdę nasza, polska, narodowa!” — myśli i zaraz po powrocie do Warszawy pisze swoje pierwsze utwory. Wreszcie przychodzi dzień rozstania. Przed domem czeka bryka, a na rogatkach tłum przyjaciół i człowiek, o którym zapomnieć trudno, profesor Elsner. Ten wręcza mu puchar z ziemią polską...

Zaczyna się okres triumfów i okres tęsknoty. Fryderyk ogląda wielkie, błyszczące miasta i rosnącą sławę. Świat mówi o nim, o Chopinie, w salach koncertowych sypie się nań kwiecie, w salonach zachodu przyjmują go jak księcia, gdy on tymczasem tęskni, tęskni za krajem znad Wisły, za Polską. Spod białych, jak kość słoniowa palców, wykwitają „mazurki” i „preludja”, a w każdej nucie odzywa się Polska!

Powiał chłodny wiatr. Chopin drgnął. Szczelnie zapiął płaszcz, raz jeszcze spojrzał na Sekwanę, rozelśnioną tysiącem odbitych światła i wolno ruszył przed siebie. Teraz zrozumiał, że śnił tylko, marzył, jak zawsze. Tymczasem jednak jest w Paryżu, gdzie, jak w drugiej ojczyźnie, znalazł dla siebie cichy dom i przyjaciół. Nie on jeden zresztą. Po upadku powstania listopadowego Francja przyjęła najlepszych

w narodzie. Paryż stał się jakgdyby stolicą skrwawionej Polski. Dlatego Fryderyk kochał Francję...

Wsiadł do czekającego pojazdu i przez gwarne, oświetlone ulice jechał do swej samotni. Miał znowu gorączkę, a do tego męczył go nieodstępny kaszel. Czuł, że opuszczają go siły. Słabł z dnia na dzień, a miał jeszcze tyle do zrobienia. W „polonezach” swych zamknął chwalebna przeszłość Polski, w „mazurkach” i „nokturnach” oddał jej duszę, a teraz pragnął jeszcze zamknąć w nutach swoją niezłomną wiarę w Zmartwychwstanie Ojczyzny. I dlatego tylko zwłóknął się z łóżka, by pochyliwszy się nad Sekwaną, ujrzeć Wisłę.

W domu zastał paru z przyjaciół. Twarz Chopina rozpoznała się nieco. Witając wszystkich uprzejmie, rozpytując o drobne szczegóły, dotyczące życia muzycznego Paryża. W skromnym salonie, w świetle świec, płonących w wieloramiennych kandelabrach, głowa gospodarza białała, jakby wycięta w marmurze. Zgorączkowane oczy świeciły chorym blaskiem. Uśmiechał się jakimś dalekim, niezmiernym uśmiechem. Tak już wyglądał od powrotu z Majorki. Nie jeden z obecnych zaniepokoił się o zdrowie mistrza.

— Zmęczony jesteś, Fryderyku! — rzekł Cyprjan cicho, z troską w głosie.

— Za wiele pracujesz!

— Gryziesz się byle czem!

— Musisz stąd stanowczo wyjechać!

— Pośłuchaj nas!

— Tak, zmęczony jestem — rzekł Chopin, nie przestając się uśmiechać. — Ale wiedźcie, że wracam z dalekiej, bardzo dalekiej podróży. Więc stąd pochodzi dostrzeżone przez was, przyjaciele, zmęczenie. Ale czuję się nieco lepiej, niż wczoraj...

— Wracasz z podróży?

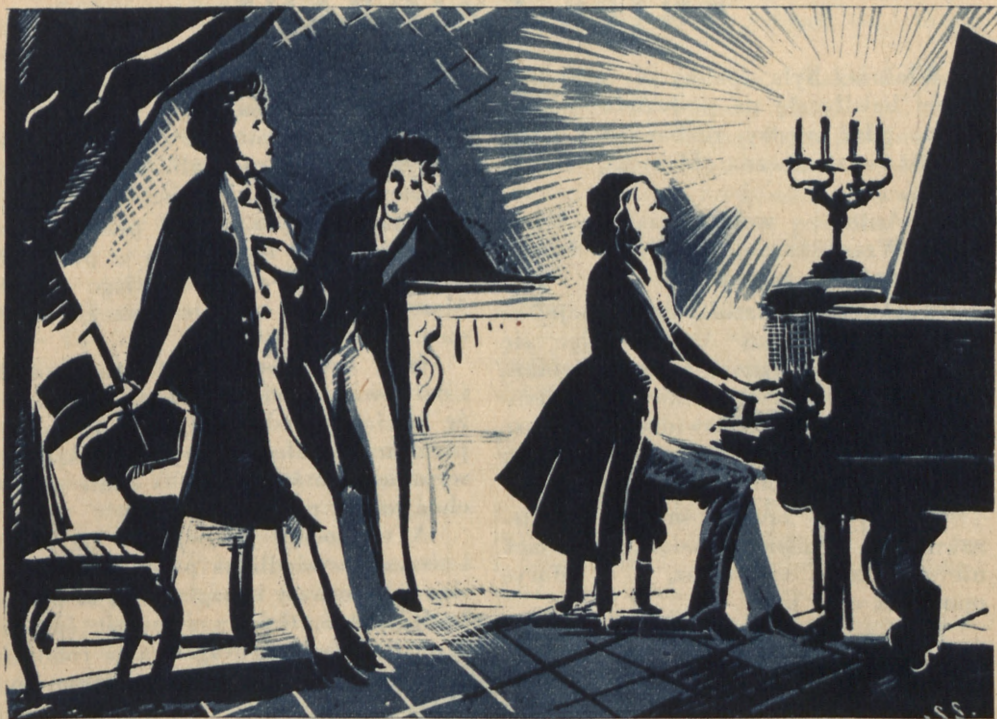
— I to dalekiej!

— Gdzie byłeś, mistrzu?

— Chcecie wiedzieć gdzie byłem?

Dobrze, powiem wam, drodzy przyjaciele, jeno nie miejcie tego za żart, ale za głęboką prawdę. Wracam więc z Polski, rozumiecie, znad Wisły!..

Gwałtowny kaszel przerwał słowa Fryderyka. W salonie zaległa cisza. Nikt



z obecnych nie odważył się przerwać milczenia. Patrzyli po sobie w zdumieniu. Tymczasem artysta otarł koronkową chusteczką pot z czoła i ciągnął dalej:

— Widziałem więc Żelazową Wolę, Mazowsze, lasy, piachy, wsie i miasta i słyszałem ten okrutny lament, jaki bije z serca umęczonego narodu...

Wstał powoli i zasiadł przy czarnym fortepianie. Śnieżno białe ręce położył na klawiaturze. Twarz jego była blada, a oczy szeroko otwarte i jakby wpatrzone w daleki, bardzo odległy obraz. Zagrał.

Słuchali, ale każdy z nich rozumiał że mistrz nie gra, lecz, jak czarnoksiężnik z bajki, wiedzie ich znad Sekwany na wschód, gdzie pola falują zielenią, a nad strugami drzemią wierzby. To była właśnie Polska...

Wkrótce na paryskim cmentarzu wykopano mogiłę. Do niej to złożono umęczone ciało Fryderyka Chopina, lecz serce powędrowało do ukochanej Warszawy. Na zimnej, grobowej płycie leżą prawie zawsze róże. Najczęściej są białe - czerwone.

Józef Nikodem Kłosowski

MARJA CURIE-SKŁODOWSKA

Na drogach pracy i sławy
jedno imię dwa miasta zbliża:
młoda studentka z Warszawy —
wielka uczona z Paryża.

W kobiecem słabem ciele
duch wielki dom sobie obrał,
by Polsce i Francji tak wiele
zaszczytu przynieść i dobra.

Tak skromna, a tak wyniosła
nie pychą — trudem ogromnym,
tu między nami wyrosła,
a tam jej dzieło i pomnik.

ANTEK EMIGRANT

Właśnie była pauza i wszystkie dzieci bawiły się na podwórzu w trze-
ciaka, gdy między rozbawione grono
wpadła zaaferowana Marysia, siostra
Antka.

— Antek — wołała zziębnięta Mary-
sia. — Wracaj zara do domu, bo jedziemy
do Francji, do tatula.

— O rety, do tatula, do Francji? —
podskoczył wysoko Antek, bijąc się
z radości po siedzeniu bosymi piętami,
co stanowiło sztukę, z której był dum-
ny. — Już jadę! Dowiedzenia proszę
pana, bo ja jadę do Francji i nie mam
czasu. Bywajcie, chłopaki!

— Stój! — zawołał śmiejąc się kie-
rownik. — Pozbieraj książki, przecież
nie pojedziesz tak zaraz, a ty Maryś
opowiedz co i jak.

I Marysia opowiedziała dokumen-
tnie i po porządku, że ojciec ich, Igna-
cy Cierpięcki, co od czterech lat prze-
bywa we Francji na robotach rolnych,
wzywa ich do siebie i że przysłał pie-
niądze i papiery. Za kilka dni mają
jechać wszyscy, matula, Marysia i ten
Antek niepotem.

— Jedźcie szczęśliwie i wracajcie
z Bogiem, — rzekł nauczyciel. — A ty,
Antku, napisz do nas jak ci tam idzie
na emigracji. A możebyś napisał do
Płomyka, żeby wszystkie dzieci w Pol-
sce wiedziały jak to tam we Francji?

— Napiszę, ho, ho, co bym nie miał
napisać! — zawołał rezolutnie Antoś.

— A proszę pana, w tej Francji to
Płomyk w każdy czwartek przychodzi?

— O nie, tam pisma polskie rzadko
dochodzą, chyba że ktoś zaprenume-
ruje.

— Płomyk nie przychodzi? — wrza-
snął Antoś. — Jakto, Płomyka czytał
nie będę i tej strasznie ciekawej po-
wieści?

— Nie martw się Antek, my jak
przeczytamy Płomyka, to ci wyślemy
każdym numer. — Zawołali chłopcy.

— Dobra, tylko nie poplamcie i nie
podrzyjcie, bo jak wrócę to wam łby
do kolan pourzynam! — zawołał An-

tek i wykrzywił się okropnie, zgrzyta-
jąc zębami jak małpa.

I pojechał Antek z matką i siostrą
Marysią. Długo jechali przez Polskę,
Niemcy i Belgię, dojechali do Francji,
do miasta Paryża, a tam przesiedli się
w inny pociąg i pojechali w południo-
we strony, do nadmorskiego miasta
Marsylji, gdzie miał ich oczekiwać oj-
ciec.

Całą drogę stał Antek przy oknie
i dziwował się wielce wszystkiemu. A to,
że pociąg wpadał razporaz w tunele,
przebite w skałach, a to że góry są takie
wysokie, a to że słońce tak silnie piecze,
choć to już połowa września.

A tu pociąg już wjechał na stację
i wszyscy wysiedli na peron. Antek wy-
skoczył pierwszy i rozgląda się za ojcem.
Ludzi pełno, tłok, wszyscy się śpieszą,
a ojca nie widać. Nagle jakiś robotnik
w niebieskiej bluzie, jak wszyscy na-
okół, podchodzi do Antka, chwytając go
w objęcia i ściska bez ceremonji.

— Enfin, mon petit! Nareszcie, mój
mały! — woła po francusku.

— Odczep się Francuzie zaciekle,
bo jak mój ojciec przyjdzie, to ci oko
podbije! — mruczy nachmurzony An-
tek i wyrывa się z całej siły.



— Przecież to ja, twój ojciec! — śmieje się Francuz, a tu i matka rzuca się mu na szyję.

— Ignacy! Tyle lat!

Wtedy dopiero poznał Antek ojca. Ale bo się zmienił w tej Francji i do Francuza upodobił, a dopiero cztery lata tutaj mieszka.

Aż tu jakiś inny Francuz wąsaty podchodzi do ojca i gada do niego po francusku, a ojciec śmieje się i bąka tak samo pod nosem.

— To mój patron, gospodarz — wyjaśnia rodzinie.

— Bąbą, bąbą! — przedrzeźnia ich Antoś.

Francuz roześmiał się i dał Antkowi dwa cukierki, co mu się bardzo podobało, oraz uszczypnął go w policzek, co mu się wydało nieprzyzwoite.

— Dzisiaj go, Francuza zaciętrzewionego! Będziesz mnie tu szczypał po gębie, jak prosiaka! — mruczał obrażony.

A potem poszli wszyscy ulicami do portu, gdzie w zielonej wodzie kołysały się łodzie i żaglowe okręty. Tam na placu wsiedli do elektrycznego tramwaju i jeszcze godzinę jechali do fermy, czyli majątku patrona, gdzie ojciec Antka był robotnikiem. Ledwie się tam rozłazowali w cienie i przestronnej izbie o kamiennej podłodze, weszła córka patrona i podała im obiad, gęgając pod nosem po francusku, a wciąż się śmiała i zagadywała do dzieci.

Rozlała w szklanki coś czerwonego. Antek spróbował i skrzywił się szkaradnie.

— Uuch! Ależ kwaśny ten barszcz, jak ocet siedmiu złodzieiów.

— To nie barszcz, to wino — roześmiał się ojciec. — Tu każdy do jedzenia pije wino. Potem jedli różne jarzyny, mięso, jaja i coś takiego dziwnego, jak kluski.

— Dobrze te kluski — rzekł Antoś.

— To nie kluski, to kartofle smażone na oliwie, na takim oleju. U nas w kraju kartofle tylko umieją gotować w wodzie, a tutaj smażą, co jest lepsze, bo wszystkie pożywne soki zostają w kartoflu i nie są odcędzane z wodą. Ale tu kartofle drogie, droższe niż chleb.

— Dziwna ta Francja — pomyślał

Antoś i patrzył spod oka na czarne kuleczki, oblepione na gałązce. — A to co, tato?

— To winogrona. Takie owoce, z których się wyciska wino.

— To ja nie chcę, bo to kwaśne.

— Ależ nie, to bardzo słodkie, ale jak się wycisnie do beczki, to skwaśnieje na wino. Te owoce podobne są do śliweczek, tylko lepsze i słodsze. Tu każdy po jedzeniu musi przekąsić na deser czymś słodkiem.

— To tu żyć, nie umierać! — zawołał Antoś, łapczywie łykając słodziuskie jak miód winogrona.

Ale ledwo to powiedział, wszedł Francuz, właściciel fermy i rzekł.

— Allors Sierpieki (a więc, Cierpiecki) dosyć tego próżnowania! Chodźmy do roboty i wy działki także! — i dobroduszenie się uśmiechając, popędzał wszystkich do pracy.

Antek wolałby leć pod drzewem i pośpać, ale gospodarz każe, trza pracować. Ojciec, matka, Marysia i Antoś dostali nożyce, kosze i patron zapędził ich do winobrania. Na zbocz góry rosło coś zielonego, jak kartofliko. Były to krzewy winne, obciążone gronami owoców, chytrze ukrytych pod strzępiastymi liśćmi.

W polu już kilkanaście osób szczękało nożycami, obcinając winne grona i rzucając je do koszy.

— To przyjemna robota — pomyślał Antoś i przycupnął koło krzewu, ukradkiem pakując owoce do ust, ale ujrzał ze zdumieniem, że ojciec całkiem otwarcie łyka winogrona.

— Możesz jeść, synu, ile chcesz.

Antka nie trzeba było dwa razy prosić, sumiennie pakował sobie żołądek i wkrótce nie mógł się ruszać, a tu, jak na nieszczęście, stanął przy nim patron i sam zaczął zryzać grona, popędzając Antka niecierpliwem:

— Vite! vite, vite! Szybko, szybko, szybko!

Napęczniały winogronami Antoś związał się jak mógł, ale po godzinie uczuł, że mu ręce pomdlały i w krzyżu okrutnie łupało. Ale patron nie zważał, że chłopak zmęczony trzydniową podróżą, tylko syczał jak gęś:



— Vite! Vite! Vite!

Bo już najwyższy czas był zbierać winogrona, które gnily i opadały.

Pracowali tak bez wytchnienia aż do kolacji, czyli, jak Francuzi mówią, do obiadu, a i potem aż do ciemnej nocy. Jak martwy rzucił się Antoś na posłanie i zasypiając, słyszał bolesne stękanie matki i Maryśki. Ojciec już był przyzwyczajony do szybkiej, gorączkowej pracy u Francuzów i mniej ucierpiał, a przytem chłop był jak dąb.

Rankiem, jeszcze słońce nie wyjrzało zza gór, gdy patron już stał we drzwiach izby i syczał to niesamowite słowo, które pędziło ludzi, jak bat, do roboty:

Vite! Vite! Vite!

Bo u Francuzów darmo nikt chleba jeść nie będzie.

Dźwignął się Antoś z jękiem, chlapnął czarnej kawy, zagryzł kawałkiem bułki i powłókł się do roboty, ścinać te przekłete winogrona w pocie czoła. A południowe słońce nie żartowało i piekło niemiłosiernie, jak nigdy w Polsce.

Wreszcie skończyło się winobranie. Jagody wyciśnięto w drewnianych stępach i sok zlano do cembrowanych dołów, gdzie kwaśniał i burzył się z szumem, zamieniając w wino. Antoś, mie-

szając gęstą ciecżą, spostrzegł ze zdziwieniem, że już dziesięć dni minęło w nieprzerwanej pracy na fermie.

— Tatku, a czy tu niema niedzieli w tej Francji? Czy tu się nie świętuje?

— O mój Antku, jak jest robota, to Francuzi nie znają odpoczynku. W zimie się czasem świętuje. W zimie sobie odpoczniesz.

— A do szkoły nie będę chodził? Do polskiej szkoły? Teraz to jużbym się pilnie uczył.

— Tu niema szkół polskich. Na północy w kopalniach węgla, słyszałem że są szkoły, utrzymywane przez Rząd polski, ale tu Polaków za mało. W zimie, jeśli patron pozwoli, pójdziesz do francuskiej szkoły, jak będzie mniej roboty.

Ale wcale się na to nie zanośli, żeby roboty miało ubywać. A to melony trzeba zrywać póki czas, a to inne owoce, to znów owoce i barany pędzać po urwiśkach, to je myć i szorować, wełnę strzyc, a to to, a to owo i tydzień za tygodniem mijał w nieprzerwanej pracy, a patron snuł się za wszystkimi jak cień i syczał te nienawistne słowa:

Vite! Vite! Vite!

I trzeba przyznać, że sam był bardzo pracowity i zapobiegliwy.

Nadeszła wreszcie zima i robota co nieco sfołgowała. Ale co też to była za zima! Ani śniegu, ani mrozu, słońce po dawnemu świeciło, tylko czasem dął taki przykry, przenikliwy wiatr „mistrzał”, co chłodem nawyłot przejmował. Ani śniegiem nie było się można obrzucać, ani bałwana ulepić, ani na sankach z górki pojeździć!

Wyciskał Antoś oliwę z oliwek, z takich czarnych śliwek i medytował o swojej doli. Ani to ust do kogo otworzyć, ani się połobuzować jak dawniej, ani zżuć kogo wesoło i bez złości. Naród tu, tejszy nie rozumie uczciwego krześcijańskiego języka i tylko brzęczy uprzejme, ale zimne jak lód, słowa pod nosem. I nic, tylko praca, ciężka praca, od ranka do ciemnej nocy.

I cóż mu z tego, że słońce Południa tak pięknie świeci? Co z tego, że morze szumi i błyszczy, że palmy słodko drżą na wietrze? Ani się nawet niema czasu popatrzeć na te cuda, bo ledwo

się człowiek zagapi, już patron stoi mu nad karkiem i gęga:

— Vite! Vite! Vite! Depêche — toi! Spiesz się!

Hej, tęsknił Antek do Polski okrutnie, chodził nadęty i osowiały i tylko Krajkowo mu się po nocach śniło. Ach, żeby wrócić do kraju!

— I nie chcę wina, nie chcę winogron ani owoców, nie chcę kartofli smażonych, choć takie dobre, tylko chcę do domu, do Polski, do Krajkowa! Suche kartofle bez soli wolę jeść, niż te francuskie frykasy, ale w domu, ale u siebie, między swojakami!

A matka i Maryśka kiwały potakująco głowami i wzdychały boleśnie, ocierając łzy. A ojciec tylko mruczał:

— Czekajcie ino. Niech uszparuje parę tysięcy, wnetki wrócimy do domu. Kupimy kilka morgów ziemi i będzie mi szczęśliwi jak króle, na swojej zie-

mi, na swoich śmiecicach.

Minęły dwa lata, twarde i ciężkie, jak dola emigranta.

We Francji szerzyło się bezrobocie i Francuzi, aby dać swoim pracę, masowo wydalali polskich robotników i odsyłali do Polski.

Był to najszczęśliwszy dzień w życiu Antosia, gdy stanął w rodzinnym Krajkowie, na ojczystej ziemi.

Tam go spotkałem, gdy chodził do szkoły, do pierwszego oddziału.

— Bo w tej Francji zapomniałem zupełnie pisać, a i z czytaniem też kiepsko — tłumaczył się zawstydzony.

A potem rzekł:

— A niech Pan napisze w Płomyku, żeby wszystkie dzieci polskie wiedziały, że wszędzie dobrze, ale w domu, w Polsce najlepiej.

Stanisław R. Hennig



Janek Marczak z gminy Odrzywoli, zamieszkały w małej, kurnej chacie, gdy nie stało chleba, mleka, soli, rzekł: popłynięm w piękniejszy świat, bracie!

Dosyć głodu z jednej morgi roli, wszak daremnie rosi znój nasz twardy bure grudy w wiosce Odrzywoli. Jedźmy w kraje, gdzie dzwonią oskardy!

Do Francuzów, do ziemi nad wodą, gdzie w czerwieni błyszczą winogrona i Sekwana słoneczną urodą aż pod Paryż płynie utęskniona.

Tam we Francji kopalnie żelaza, węgla, rudy; fabryki wysokie, a kominy niebo dymem mażą, ledwie dojrzyysz i dosięgniesz okiem.

Ja górnikiem zostanę, górnikiem, i w podziemiu podłożę dynamit i zaświeci się lontu płomykiem ognik błędny pomiędzy skałami.

Dadzą bluzę niebieską... roboczą, jak błękitny na polskich niebiosach. Dalej — stanę w szeregu ochoczo, niech mi świder zadźwięczy jak kosa.

Statek huczał żałośnie w podróży, niósł Marczaków do Francji bogatej, Janek oczy pod słońce przymrużył i gawędził o sztolni z swym bratem.

Potem został górnikiem nasz Janek, świdrem łupał bryły węgla w skałach, z małą lampką zastawał go ranek gdy go winda w głębiny zabrała

Lat na trudzie minęło dwanaście,
ale kiedy skończyła się praca
załopotał znów sztandar na maszcie
i znów Janek do Polski powraca.

Serce biło cichutko w ukryciu
gdy z pociągu na mazurskie łany
patrzył. Widział jak w owsie i w życie
srebrny pas się przewija wiślany.

Słońce jasne skry rzuca na maki,
srebrne brzozy wiatr nizinny czesze
a na gniazdach z patyków dwa ptaki,
dwa bociany zasiadły na strzesze.

Zaklekotał bocian z wysokości,
drzwi skrzypnęły, wrota zatrzeszczały,
syn do domu ojców wraca z gości,
Jan dorósł, a nie Janek mały.

Stefan Helt



Ustawił tackę na szafce nocnej
i ujął wyciągniętą do siebie dłoń.
Francuz przytrzymał jego rękę
i wpatrywał mu się badawczo w oczy
z radosnym, pełnym oczekiwania
uśmiechem.

— Dziękuję ci, synu, — rzekł po
polsku.

Stefana ścisnęło w gardle. Było
coś w tym uśmiechu i w tym głosie,
co mu przypomniało zmarłego ojca.

Pan Ami pociągnął go za rękę ku
sobie. Stefan prawie mimowolnie
opadł mu głową na ramię i wybuch-
nął płaczem.

— Synu, synu! — szeptał zdławio-
nym głosem chory i gładził go dru-
gą ręką po plecach.

Po chwili Stefan się opamiętał
i zawstydził. Podniósł głowę, cofnął
rękę z dłoni Francuza, wyprostował
się i zaczął wycierać pięściami oczy.

— Przepraszam pana, — mó-
wił — przepraszam za moje maz-
gajstwo i poufałość, ale pan pewnie
słyszał, że ja straciłem ojca. Och,
i jakiego ojca! Takiego drugiego
spewnością niema na świecie! Więc

gdy pan powiedział: „Synu” (a on
tak właśnie zawsze mnie nazywał)
to się rozbeczałem, jak baba.

— Nie masz się czego wstydzić—
rzekł pan Ami wzruszonym gło-
sem. — To dowód, że o nim nie za-
pomniałeś.

— Nie zapomnę nigdy! — wy-
krzyknął chłopiec.

— A ja — szepnął pan Ami, pa-
trząc prosto w twarz Stefanowi —
ja take miałem syna.

Chłopcu znów łzy napłynęły do
oczu.

— I syn pana?...—umilkł, chciał
się zapytać, czy umarł, ale pan Ami
odgadł jego myśl, uśmiechnął się ra-
dośnie i zaprzeczył, wlepiając ciągle
oczy w twarz chłopca.

— O nie, mój syn żyje, kocha
mnie i pamięta o mnie i nigdy nie
zapomni!

— Tylko że pan do niego wróci.

— „Niech żywi nie tracą na-
dziei”.

— Tak, żywi, — szepnął Stefan
boleśnie i wybiegł z pokoju, bo nie
mógł zapanować nad płaczem, a nie

chciał psuć radosnego usposobienia Francuza.

Pan Ami szybko wracał do sił, wstawał z łóżka, przesiadywał w ogrodzie, dobrze jadł, był wesół i rozmawiał chętnie z matką i chłopcami po francusku, często jednak przechodził na polski, zwłaszcza gdy wieczorem Marysia sprzątnęła od kolacji i poszła do kuchni, a oni siedzieli przy okrągłym stole pod lampą i odpoczywali po trudach dnia. Okazało się, że pan Ami wiele podróżował, był w Chinach, objechał południową Azję, niejedno widział i umiał zajmująco opowiedzieć. Lekcje z nim były także bardzo zajmujące, chociaż może mniej systematyczne niż z mamą, ale Stefan już skończył z nią kurs trzeciej klasy, więc był spokojny o zdanie egzaminu.

Wkrótce tak się wszyscy troje zaprzyjaźnili z Francuzem, że nie umieliby już wyobrazić sobie życia bez niego. Opowiadali mu o wszystkich swoich sprawach, we wszystkim się go radzili. Mamie prowadził rachunki gospodarskie i objeżdżał z nią pola. Nigdy jednak nie chciał jeździć do miasteczka i nie lubił chodzić na podwórze.

Raz przyszło na myśl Stefanowi,

że pan Ami boi się ludzi i żartem napomknął mu o tem.

— Czy to naprawdę tak wygląda? — zaniepokoił się pan Ami.

— Czy może ci kto o tem mówił?

— Nie, nie — zaprzeczył Stefan — ja tylko sam tak pomyślałem.

— Sam pomyślałeś? Jeżeli jednak coś podobnego przyszło ci do głowy, to musi wyglądać — upierał się Francuz, najwidoczniej przejęty tą uwagą chłopca.

— Nie sędzę. Zresztą, gdyby nawet tak wyglądało, to chyba naturalne, że pan, jako cudzoziemiec, nie czuje się dobrze między ludźmi, którzy nie mówią jego językiem i których może niezupełnie rozumie.

— Tak, to prawda, ale czy każdy w ten sposób wytłumaczy sobie moje postępowanie? Może najlepiej będzie, jeżeli od czasu do czasu pojedę do miasteczka, o, na przykład do fryzjera, aby mi przyszyty brode.

Nazajutrz istotnie pojechał z chłopcami do miasteczka, był u fryzjera, na poczcie, w sklepiku u Szabsi, gdzie kupił dla Władysia cukierków. Wszędzie mówił dużo i głośno po francusku.

c. d. n.

Br. Włodkówna



Bieżący tydzień radjowy przyniesie Wam sporo ciekawych audycji. We wtorek, 28 kwietnia od godz. 12 min. 15 do g. 12 m. 30 radio poda obrazek słu-

chowiskowy dla młodszych dzieci p. t.: „Smutno niedzieli, gdy się piątek weseli”. Będzie to wesoła historyjka o dniach tygodnia i ich przeznaczeniu, urozmai-

cona ładnymi piosenkami. Słuchowisko napisał p. Benedykt Hertz.

We środę, 29 kwietnia od godz. 16.00 do godz. 16 min. 20 oczekuje Was audycja ze Lwowa pod tytułem: „Piosenki dla dzieci”, które zaśpiewa chór Erjana.

We czwartek, 30 kwietnia od godz. 16.00 do godz. 16 min. 15 Wilno nada wesołe opowiadanie: „O tem, jak małpka skubała misia za ogon”. Pan Wacław Korabiewicz, znany podróżnik, opowie Wam wesołe przygody dwóch małpek i misia. Ten miś został oddany do Warszawskiego Ogrodu Zoologicznego.

W piątek, 1 maja od godz. 12 min. 15 do godz. 12 min. 45 audycja dla starszych dzieci pod tytułem: „Ojczyzna moja, ty jesteś jak zdrowie”. Usłyszycie o Mickiewiczu, Słowackim i Norwidzie, którzy będąc na emigracji tęsknili do ojczyzny. Ta tęsknota przebija się w utworach naszych poetów.

Na audycję złożą się: 1. pogadanka, 2. utwory poetów.

A o godzinie 16 minut 45 prof. St. Sumiński wygłosi interesującą pogadankę przyrodniczą p. t.: „Przyroda w maju”. Dowiedzie się o ciekawych zjawiskach, jakie można zaobserwować w tym miesiącu w świecie roślin i zwierząt.

W sobotę, 2 maja od godz. 16 min. 15 do godz. 16 min. 45 Teatr Wyobraźni przygotował ciekawą pogadankę p. t.: „Woda”. Ponieważ mamy dużo rzek nieuregulowanych i często na wiosnę zdarzają się wylewy, posłuchajcie słuchowiska na temat powodzi.

W niedzielę, 3 maja od godz. 16.00 do godz. 16 min. 15 „Chwilka pytań” dla starszych dzieci, które zawaze niecierpliwie jej oczekują. W poniedziałek 4 maja od godz. 18 min. 30 do godz. 18 m. 40 „Skrzyneczka radiowa” udzieli odpowiedzi na miłe listy dzieci.

LISTY OD REDAKCJI

Pytacie, co się stało z Waszemi utworami, które nie zostały wydrukowane w piśmieku...

Leżą w specjalnej teczce, przeznaczonej do przechowania różnych prac swoich czytelników. Jest jeszcze w redakcji album z Waszemi fotografiami, są robótki, pisanki i całe stosy listów.

Wszystkie schował „Płomyk” w dużej szafie i wcale nie myśli wyrzucać ich do kosza. Część ich zostanie zamieszczona w Nr. 39.

A teraz odpowiem Czytelnikom z Wysocka, którzy pytali, czy mogą przychodzić do nich dwa razy na tydzień. — Nie mogę, gdyż nie zdążą mnie wydrukować, a przytem nie wszystkie dzieci mogłyby opłacać większą prenumeratę piśmieka.

Milej gromadce z Piekar dziękuję za 30 listów, w których każde z Was bardzo ciekawie napisało mi, co porabiacie i co się dzieje w szkole.

Klasę V z Udrycz proszę o podanie dokładnego adresu, ponieważ chcę Wam pomóc w nawiązaniu korespondencji z dziećmi polskimi zagranicą.

Ze szkołami w Krakowie pragną korespondować:

Klasa VI-b szkoły powsz. w Beresteczku, pow. Horochów woj. wołyńskie.

Klasa VIa szkoły powsz. żeńskiej Nr. 2 w Wołkowysku.

Uczniowie klasy V szkoły powsz. im. A. Konarskiego w Tarnopolu proszą, aby napisali do nich rówieśnicy z Pomorza i Wileńszczyzny.

Klasy V i VI w Izabelinie, woj. białostockie będą wymieniać listy z rówieśnikami na Śląsku.

Klasa IV szkoły powsz. w Chocianowicach, poczta Pabjanice, pow. łaski chce nawiązać korespondencję z równorzędną klasą jakiegokolwiek szkoły.

Klasa V szkoły powsz. w Bobowej, pow. gorlicki, woj. krakowskie, prosi o adresy szkoły na Śląsku i Pomorzu, w celu nawiązania korespondencji.

Która ze szkół zaopiekuje się szkołą powszechną w Baksztach, pow. wołyński? Dzieciom tym bardzo przydałyby się przeczytane przez Was książeczki i „Płomyczki”.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS 1.



REBUS 2.



ZAGADKA 1.

Czy to jest zwierzę,
czy to nie zwierzę —
ma cztery rogi,
a w środku pierze.

ZAGADKA 2.

Pusta litera, rosnąca nisko
smacznej jarzyny da wam nazwiako.

ZAGADKA 3.

Przez małą literę
w północnej krainie
zwierzę,
karmiciel człowieka.
Przez dużą literę
w zachodniej krainie
potężna płynię
rzeka.

SZARADA 1.

Skąd się bierze *drugie* — *trzecie*
tych owadów wiosną, w lecie?
Pierwsze - *trzecie* nazywane
niszczą futra i ubranie.
Całość — także są owady,
ozdabiają nasze sady.

SZARADA 2.

Pierwsza — sylaba dwuliterowa,
i miód i pszczoły w swym środku chowa.
Druga — litera, niby laseczka,
nad tą laseczką mała kropeczka.
Trzecia — z dwóch liter tylko się składa,
trzecią literę z pierwszą posiada.
Całością, która przed domem wiedzie,
albo się idzie, albo się jedzie.

SZARADA 3.

Pierwsza — rzecz ważna dla stolarzy
i dla nas, gdy się kleić zdarzy.
Druga odrazu cała jest,
kiedy od nosa odjąć „s”.
Trzecia — zaimek. Tak masz oto
całość: brylanty, oraz złoto.

ROZWIĄZANIA Z NR. 32.

Rebus: Święto narodowe trzeciego
maja. Zagadka 1 — rzepa, 2 — laska,
3 — noc i księżyc, 4 — kiedy się wychyli
przez okno, 5 — kwiecień, 6 — ta-
lerze. Szarada 1 — fasola, 2 — antena.
Łamigłówka 1 — konstytucja, 2 — 3
maj 100-łęk!

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wzwyż)	
miesięcznie	zł. 1.10	miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 5.—	półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 10.—	rocznie	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

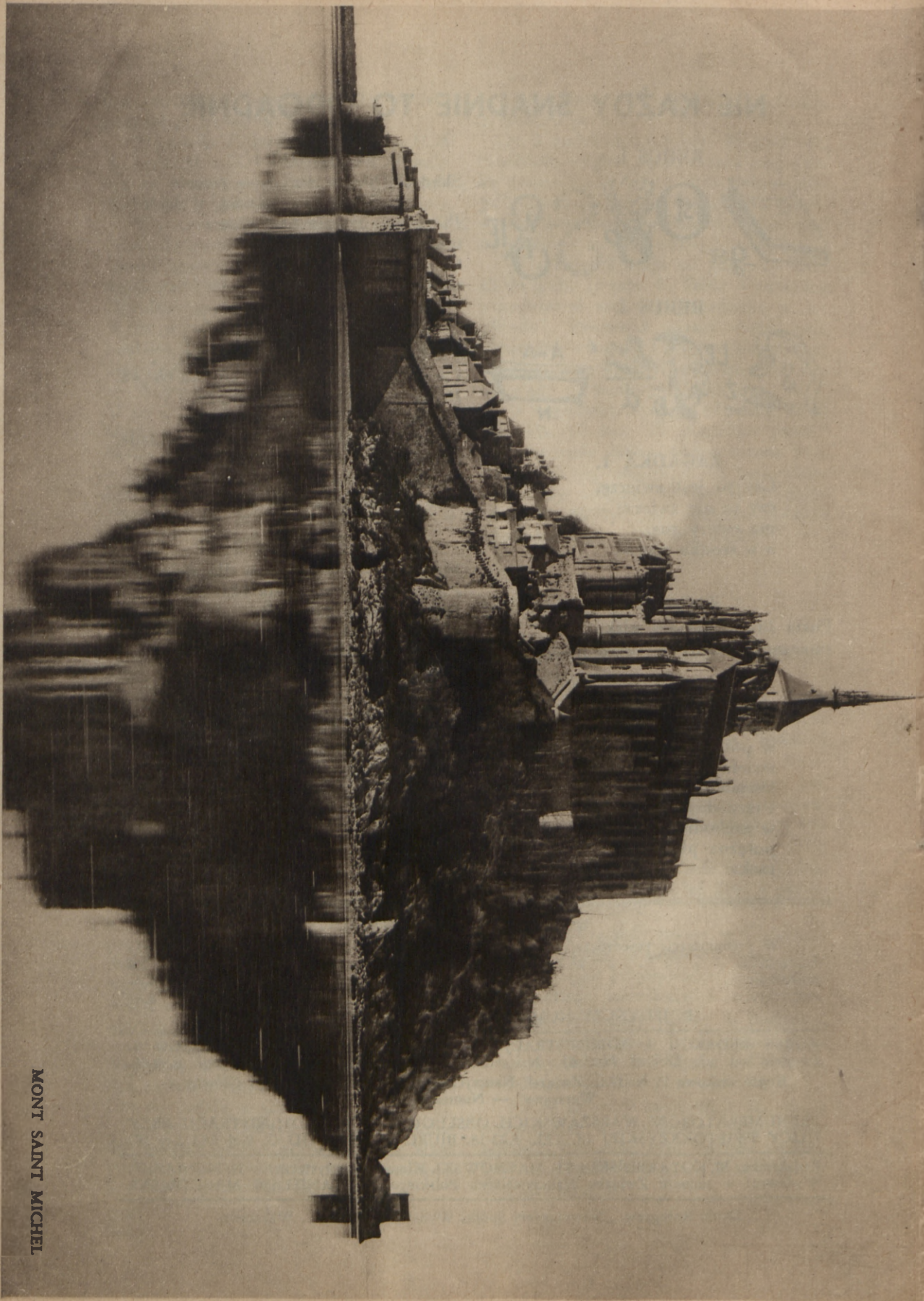
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny —
Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY
ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK.
Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa



MONT SAINT MICHEL